

Mathura znikła z moich oczu, choć w tak ludnej części Indii, podobnie jak w najgęściej zasiedlonych częściach Europy, ciężko znaleźć granicę między miastem, a bardziej dziką przestrzenią. Oczywiście europejski ścisk populacyjny ma zupełnie inny wyraz od indyjskiego. Gdyby Hindusi, podobnie jak Holendrzy, przemieszkowali głównie w jednorodzinnych, przestrzennych domach, całe chyba Indie musiałyby posiadać dach i drzwi wejściowe. Tymczasem z okna widać było skromne, barakowate domki, zawsze mniej lub bardziej niedokończone, jakieś karłowate obszary zwartej zabudowy, porwanej, niepełnej, podobnie jak dzieła sztuki Kantora, aczkolwiek znacznie pogodniejszej od kantorowskiego Wielopola. Nawet karłowate i pozbawione elektryczności domki wyglądały jednak okazale przy szałasach największej biedoty. Co jednak ciekawe, nawet wśród skupisk szałasów dostrzec można było odpowiadające im estetyką szkoły, mikroskopijne świątynie, oraz punkty rozmów telefonicznych.



Najbardziej chyba przyciągnął moją uwagę otwarty na tory placyk w jakichś slumsach, z którego wyrastała poetycko rzeźba bogini Durgi. Wyobraziłem sobie te wszystkie nieszczęsne dziewczyny, dzieci, zapracowanych mężczyzn zbierających się przy swoim posągu i patrzących na to, jak niezwykle on wygląda przy blasku księżyca.

Lecz za domami, poza małymi, przyklejonymi do samotnych figowców świątyńkami, rozciągał się pejzaż Chaurasiki, niegdyś krainy pełnej drzew, lecz i teraz urokliwej. To tu właśnie Hindusi usytuowali pastoralne historie dotyczące Radhy i Kriszny, sławiące miłość zmysłową, jak i miłość mistyczną, ale też piękno przyrody i jej przemian. Piękno, które oczywiście miało na celu również opisowe wzmacnianie emocji miotających kochankami, jednej z podstaw emocjonalnej teorii estetycznej tak ważnej dla sztuki indyjskiej.

Mogołowie założyli swoją stolicę w dawnym mieście Agadir. Między ich rządami, a władzą radżów zdarzały się inne okresy obcych rządów. I taki właśnie przejaw mignął mi przed oczami w postaci przywodzącej na myśl jakieś nieziemskie, wykonane z czerwonego piaskowca, zwierzę. Był to grobowiec cesarza Akbara, wprawdzie mogolski, lecz wzniesiony na miejscu zrekonstruowanego przez uczonego władcę miasta afgańskiej dynastii Lodich. Afganowie byli głównymi przeciwnikami politycznymi ustanawiających swe nowe państwo Mogołów, ciekaw jestem więc dlaczego Akbar chciał być pochowany na miejscu zamieszkiwanym przez dawnych nieprzyjaciół. Być może podczas tego pobytu poznam tę historię, o ile tylko została przez kogoś utrwalona. Akbar był przeciwnikiem religijnych podziałów, niemal ateistą, zważywszy na czasy w których żył. Tym niemniej darzył ogromnym szacunkiem miejsca związane z działalnością dawnych sufich. Dla jednego z nich starał się stworzyć nową stolicę, Fatehpur Sikri. Całkiem możliwe, że również w przypadku Sikandry motywacją dla cesarza Hindustanu był jakiś święty mąż, który działał przy dworze Lodich.

– Dość tych rozmyślań – pomyślałem i wyjąwszy plecak spod kuszetko – siedzenia zacząłem posuwać się do wyjścia z pociągu. Jak się niebawem okazało, przedwcześnie, gdyż pociąg krążył jeszcze po agryjskich torach przez co najmniej 20 minut.

W końcu jednak wjechałem na główny dworzec Agry „Agra Cantt.”. Dworce w Indiach bywają często całkiem ładne, ten zaś należał do tego zacnego grona. Nawet woń ekskrementów nie unosiła się tutaj znad torów zbyt wyraziście. Hindusi wciąż pielęgnują bowiem zwyczaj załatwiania się na świeżym powietrzu, zaś tory są nader atrakcyjnym typem WC. Gdy jedzie się pociągiem przez torowiska bardziej zaludnione, można podziwiać rzędy osób oddających się tej intymnej potrzebie. Najczęściej są to mężczyźni, można przypuszczać zatem, iż kobiety są pod tym względem mocno dyskryminowane.

Na dworcu agryjskim szukałem przede wszystkim punktu rozmów

telefonicznych. Oczywiście otoczyło mnie grono spragnionych klienta rykszarzy. Jak się okazało z okolic dworca nie można było wykonać rozmowy międzynarodowej, zaś Kaja miała póki co tylko polski roaming, gdyż indyjska karta sim czekała wciąż na swoją aktywację (choć moja lepsza połowa spełniła już wszystkie administracyjne ceremonie potrzebne do posiadania indyjskiego numeru komórkowego). Najbardziej wytrwały rykszarz poinformował mnie, iż międzynarodowy punkt telefoniczny znajduje się trzy kilometry dalej i chętnie mnie podrzuci. Zgodziłem się, co oczywiście nie było do końca rozsądne, ale chciałem już jak najszybciej dotrzeć do celu. Przejechaliśmy jednak ledwie 300 metrów i naszym oczom ukazał się nadający się do tego celu punkt. Niestety nie mogłem się dodzwonić, choć prosiłem Kaję, aby miała telefon przy sobie. Najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem zaistniałej sytuacji było zapewne zjawisko ślepego łączenia. Polega ono na tym, że indyjskie telefonie często łączą z innym numerem od tego wybranego. Dlatego na przykład nie dochodzą zazwyczaj smsy.

Zaproponowano mi herbatę, ja jednak delectowałem się po prostu indyjskim dniem. Aleja odchodząca od India Cantt. należy do urokliwych, choć znajduje się przy niej jedynie tymczasowa architektura w postaci wszelkiej maści budek. Nie mogłem sobie przypomnieć miejscowej nazwy szkoły do której zmierzałem, lecz po nazwach ulic, dzielnic i z pomocą mapy doszliśmy do lokalizacji Agra Hindi Institute z wciąż chcącym mi służyć pomocą rykszarzem. Biedak zmartwił się, iż ów obszar znajduje się daleko za strefą, w której może świadczyć swe usługi. Wymienił nieco wygórowaną cenę i pozostawił mnie w rękach 13 letniego rykszarza. Po bezskutecznym targowaniu się postanowiłem się zgodzić, jako, że rzeczywiście mi pomogli i byli bardzo mili. Młody wiek mojego przewoźnika tłumaczy zapewne nieuchwytność nieletniego wobec prawa dotyczącego łamania stref. Nie wiem, czy mój młody szofer posiadał jakieś prawo jazdy, ale nie sądzę, aby jakakolwiek szkoła nauki jazdy przygotowywała do poruszania się na indyjskich drogach. Jeździ się bowiem z prądem i pod prąd, na ukos, przejeżdża się ronda,

zjeżdża na pobocza. Każdy pojazd trąbi oznajmiając swoją obecność i liczy na respekt ze strony innych kierowców. Działa prawo masy, to znaczy – im większą masę ma pojazd drogowy, tym większe posiada wrodzone prawo dla torowania sobie własnego szlaku. Na drogach jest oczywiście ogromna ilość zwierząt – wielbłądów, osłów, koni i oczywiście krów, które z całą niefrasobliwą bezczelnością płyną przed siebie powolnym ruchem, jakby cały kocioł barwnych blach i pyłu przewijający się przy nich w ogóle nie istniał. Wiele krów po prostu sobie leży, niekoniecznie na samym środku danej drogi, lecz z pewnością zajmując spore części jej brzegów.

Agra wydała mi się dużo ładniejsza niż dawniej. Trzy lata temu popełniłem ten błąd, iż zacząłem poznawać to milionowe miasto od Taj Mahalu. Przy tym wspaniałym arcydziele niemal każda budowla na świecie musi rozczarowywać. Tym razem było inaczej. Z ogólnego, typowego dla Indii barwnego chaosu wyłaniały się liczne sklepy, filie firm. Imponujące były szkoły, na przykład St. Paul College zbudowany przez Anglików niemal w doskonałym stylu mogolskim, przynajmniej jeśli patrzeć z daleka. Miasto przecinały liczne czteropasmówki, obwieszane reklamami, uzbrojone w hotele i kina. Wjeżdżanie w nie i przejeżdżanie przez nie wymagało od młodego rykszarza nie lada umiejętności i, o czym świadczy pozostający wciąż wśród żywych piszący te słowa, radził sobie on z tym znakomicie. Po kilku minutach jazdy zobaczyłem też moich starych znajomych, czyli stado małych makaków, zajętych najwyraźniej knuciem napadu na targ warzywny. Jedynie stan nawierzchni dróg naprawdę był specyficzny. Co jakiś czas ryksza wpadała w dziury niemal półmetrowe, zaś jej koła jęczały i skrzypiały boleśnie.

Central Hindi Institute jest, jak każda tego typu placówka, otoczony murem. Uzbrojeni w strzelby strażnicy strzegą wejść. Musiałem zatem im wyjaśnić, po co przybyłem. Na szczęście, mimo braku dostatecznej znajomości języka hindi w moim wypadku i angielskiego w ich wypadku, okazało się to nie tak trudne.

Poszczególne osoby kursowały między mną, a głównym budynkiem uczelni, wreszcie zostałem wprowadzony do wnętrza, gdzie czekałem wśród grona pedagogicznego. Była to grupa miłych i dość zwariowanych osób, szczególną zaś moją uwagę przykuł dyrektor sekcji studentów zagranicznych, Bharat Singh. Filmy indyjskie często pokazują osobę dyrektora college jako osobę do pewnego stopnia szaloną, ja zaś zauważyłem, iż wzorują się na rzeczywistości. Studenci, w tym Kaja, mieli właśnie seminarium, czyli wspólny dla wszystkich roczników apel, gdzie prezentowano różne referaty etc. Główny gmach szkoły składał się z zadaszonych dziedzińca i umieszczonych wokół niego na kilku kondygnacjach sal. Tym razem seminarium było bardzo głośne i okrzyki oraz odgłosy klaskania rozlegały się w wewnętrznej auli.

Bharat Singh zaprowadził mnie tam i przedstawił w barwny sposób, mówiąc iż jestem dziennikarzem chcącym badać muzykę indyjską, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Umówiliśmy się na mój krótki koncert na przyszłym seminarium. Był to pomysł Kai, ja, wciąż jeszcze onieśmielony podróżą i upałem, nie miałem wiele do powiedzenia. Gdy seminarium się skończyło, poznałem niektórych studentów. Były to osoby z różnych stron świata. Na razie w pamięć mi zapadła Chiara, Włoszka z południa, mówiąca znakomicie po francusku i angielsku, a teraz ucząca się hindi. Cechował ją bardzo bezpośredni styl życia, co oczywiście peszyło niektórych Hindusów, przyzwyczajonych do wschodniego owijania w bawełnę.

– To mi się nie podoba! – oznajmiała Chiara, gdy coś jej nie przypadło do gustu, zaś Hindusi patrzyli oniemiała, zwłaszcza wykładowcy. Innym razem Włoszka puszczała oko do wybranej osoby. Gdy był to Hinduś z pewnością uciekał zarumieniony, albo zakochiwał się.

Innym zbuntowanym studentem, którego poznałem na wstępie, był Meksykanin Jorge. Został wysłany do szkoły hindi nie mając większych doświadczeń z najpopularniejszym językiem Indii. Przyczyną był teatr, który Jorge współprowadzi, wykorzystując

doświadczenia Barby, a pośrednio Grotowskiego. Ów zakochany w naturze Latynos dobrze się odnalazł w Indiach, pomimo ich przeludnienia i niewielkich obszarów zachowanych we względnie naturalnym stanie. Gdy kraj jest biedny i przeludniony, nie ma niestety zbyt wiele miejsca na ekologię. Hindusi wprawdzie próbują wprowadzać na szeroką skalę silniki gazowe, promują też różne akcje ekologiczne. Na przykład wszyscy studenci CHI zaopatrzyli się w zeszyty propagujące ideę ochrony tygrysów bengalskich. Tego typu akcje przeprowadzane w tak trudnych warunkach wzbudzają mój szacunek, nawet wzruszenie. Lecz mam przy tym wszystkim świadomość, iż główne problemy dotyczące środowiska nie mogą liczyć na szybkie rozwiązanie.

Małownicza, indyjska samowolka ma też swoje drugie dno. Mało kto się troszczy o emisję wszelkiego rodzaju toksyn podczas produkcji wszelkiego typu produkcji. Robotnicy często nie są należycie zabezpieczani przed chemicznymi zagrożeniami związanymi z ich pracą. W wielu miejscach każda piędź ziemi jest starannie eksploatowana, tak że nawet mogąca znieść wszystko trawa nie ma najmniejszych szans. Ale jest też kolejne, trzecie dno – jak to w Indiach. Większość Hindusów żyje w trudnych warunkach, w prawdziwych ruderach. Codziennosc przynosi ciężką walkę o zwykłą wodę, energię elektryczną, nie wspominając o dostępie do lekarstw. Biedni ludzie pracują ciężko i są bardzo nędznie wynagradzani. Czasem ciężko zrozumieć sens ich trudów. Mimo to mają oni siłę respektować inne zwierzęta żyjące w ich otoczeniu. Owady, szczury, myszy nie są zabijane, tak jak w bogatej Europie, z uwagi na swój zły wygląd, czy minimalne zazwyczaj zagrożenia dla zdrowia. Nawet karaluch korzysta z zasady „żyj i dać żyć innym”. Gdybyśmy ujęli rzecz całą w ten sposób, Hindusi są najbardziej ekologicznym społeczeństwem na świecie, gdyż przeważnie nie zabijają innych stworzeń. W związku z tym miasta i miasteczka Indii przygarniają znacznie bogatszą faunę, niż niejeden europejski las. A, że nie zawsze są to słowiki i papużki, to już zupełnie inna sprawa.

Wracając do Central Hindi Institute. Składa on się z kilku małych akademików, podzielonych na męskie i żeńskie. Główny gmach wznosi się nad placem, gdzie znajduje się mała księgarnia, urząd pocztowy i kilka garaży, w których rozkładają się od dziesięcioleci jakieś samochody. Jest też jakiś warsztat, ale w ramach konserwacji budynków edukacyjnych jego pracownicy nie zajmują się innymi elementami chaosu w otoczeniu. Środek placu zajmuje fontanna, włączana na kilkanaście minut dziennie, gdy do szkoły wjeżdżają osoby szczególnie ważne. Wtedy też strażnicy prezentują swoją broń i stają na baczność. Fontanna ma pokryte kaflami obramienie, gdzie wieczorami spotykają się studenci, którzy nie mają zbyt wiele wolności osobistej, gdyż kobiety muszą wracać na teren szkoły do godziny 19, zaś mężczyźni do 21.

Metody nauczania nie wszystkim odpowiadają, skarży się na nie też Jorge, który należy do osób zupełnie nieosłuchanych z Hindi. W szkole mówi się praktycznie tylko w hindi, przez co długo nie wyjaśnia się dostatecznie gramatyki. Student intensywnie bombardowany tym językiem powinien go po prostu poczuć. Nauka jest przy tym bardzo intensywna, pozostaje mało czasu wolnego. Poznają trzech Murzynów z Czadu, którzy są pionierami wiedzy o Indiach w swoim kraju. Mówią w hindi rewelacyjnie, wspaniale po francusku, arabsku, z ich angielskim też nie jest źle. Najbardziej charyzmatyczny z nich posiada wyższy stopień wojskowy. W ich kraju nie ma nawet ambasady Indii. Swoją miłość do hindi zawdzięczają filmom oglądanym już w dzieciństwie. Powoli, jak kropla drążąca skałę, przyciągnęli sobą uwagę indyjskiego ministra kultury. Mają się z nim spotkać. Z podziwem patrzę na tych poważnych ludzi. Dobrze znoszą ciągle jeszcze upalne dni, choć mówią, że w ich kraju jest chłodniej.

Przy hiperrealistycznym pomniku ojca założyciela szkoły poznają jedną ze studiujących tutaj mieszkankę Mongolii. Również ona ma nader poważny stosunek do swoich studiów. W trakcie rozmowy dowiaduję się, iż jest prawniczką. Z nieco



przebiegłym błyskiem w urodziwych oczach tłumaczy mi, iż mieszkańcy Mongolii przyjaźnią się ze swoimi sąsiadami, zarówno z Rosjanami, jak i z Chińczykami. Stanowi to jej odpowiedź na moje pytanie o problemy płynące z bycia wciśniętym pomiędzy tak wielkie mocarstwa. Mongolskich studentów jest chyba powyżej pięciu, co wskazuje na to, iż indyjski rząd jest zainteresowany dawną ojczyzną Czingis Chana. Dla porównania z Polski mogły przyjechać tylko trzy osoby. Jedna nie dotarła, z uwagi na chorobę uniemożliwiającą szczepienia w ostatniej chwili. Obok mojej Kai nasz kraj reprezentuje tym razem Ania z Poznania, podobnie jak Jorge i Chiara zbuntowana przeciw panującym rygorom. Z nieznaną natomiast innym nacjom perfekcją urodziwa Poznanianka wyszukuje najbardziej atrakcyjne bazy Agry i dzieli się swoją wiedzą z koleżankami, rządowymi pięknymi pendzabi, czy też bransoletek na stopy.

Nie brak też Japończyków i Chińczyków. Wbrew krążącym o nich plotkom bynajmniej nie mają oni zamiaru bez szemrania poddawać się hinduskim rygorom. Wieczorne spotkania przy podszkolnej fontannie przypominają mi wspaniałe indyjski film „Kolor Szafranu”, którego reżyser chciał wydobyć z młodego pokolenia wiosenną moc i krnąbrność. Zwykle nie lubię w Indiach za bardzo skupiać się na obcokrajowcach, ale ci, których poznaję są inni. Każdy z nich zdecydował się poświęcić co najmniej rok swojego życia na opanowanie hindi, języka, którego sami Hindusi często nie darzą szacunkiem. Kojarzy im się z tym co stare, z nędzą podzielonego społeczeństwa, z obszernym alfabetem abstrakcyjnych obecnie starożytnych zasad dharmy. Wielu młodych, bogatych Hindusów mówi w swoich domach tylko po angielsku. Zależy im przede wszystkim na tym, aby ich dzieci były w naturalny sposób anglojęzyczne. Zatem ludzie, którzy godzą się na pewną monotematyczność Central Institute of Hindi, którzy dla niej przyjeżdżają z nader odległych miejsc, są wyjątkowi. Każdy z nich musiał, lub będzie musiał, ustosunkować się do cywilizacji indyjskiej w głęboki, niedostępny dla wielu turystów i nawet Hindusów sposób.

Zanim skończę tę kartkę z mojego indyjskiego pamiętnika, wspomnę jeszcze ulicę, która prowadzi do CIH. Odchodzi ona od obwodnicy łączącej centralne części miasta z Sikandrą. Jest stosunkowo wąska. Poprzedza ją rondo, czyli swoista karuzela trąbiącego chaosu. U tego swojego wylotu ulica posiada trochę murowanych sklepów, które później ustępują bardziej tymczasowym kioskom i budkom. Co jakiś czas przy drodze można zobaczyć jakąś rezydencję. Na odcinku pół kilometra znajduje się kilka świątyń. Wpierw małe chram Hanumana, później najbardziej okazała świątynia bogini Durgi, otwarta na ulicę całkiem ładnym krużgankiem. Za nią widać sporych rozmiarów świątynię boga Sziwy, wciąż jeszcze w budowie. Trzy charakterystyczne dla indyjskiej architektury sakralnej wieże robią ogromne wrażenie swoją przysadzistą plastycznością i oparciem na kalejdoskopowych wielokątach, nawiązujących zapewne do jantr, geometrycznych symboli bóstwa. Tuż przed samymi akademikami męskimi wznosi się mała świątynka bogini Kali, w której widać całkiem udaną rzeźbę patronki, jak też i boga początku, Ganesię o słoniowej głowie. O różnych porach dnia słychać z owych przybytków bhadźany. Jak to w Indiach, mieszają się one często z muzułmańskim azanem, lecz przy samej drodze nie widać żadnych meczetów, ani nawet małych zazwyczaj grobowców szyickich świątych. Tym niemniej ulicą co jakiś czas przechodzą ludzie ubrani po muzułmański, między innymi dziewczyny w pendżabi z całkiem zasłoniętymi twarzami.

Ciąg dalszy nastąpi...

Zobacz inne części indyjskiego dziennika – [kliknij tutaj](#)